DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 10 Lutego, 1888 r. Nr. 5.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

W DWUDZIESTOPIĘCIOLETNIĄ ROCZNICĘ

powstania 1863 roku.

Współuczestnikom poświęca

Adam Asnyk.

(Dokończenie.)

A w piersiach naszych z każdą chwilą rosła
Miłość bezbrzeżna, wyłączna, jedyna,
Co na swych skrzydłach duszę w błękit niosła,
Jakby do matki stęschnionego syna,
Z wiarą, że w górze poza chmur zasłoną
Ujrzy ją znowu — jasną i zbawioną.

Myśmy ją wszyscy przed sobą widzieli —
Cudowną postać w złotej gwiazd koronie,
W niepokalanej czystości i bieli,
Ze zmaz obmytą przez anielskie dłonie,
Z twarzą podobną do Najświętszej Panny
I blask z swych włosów siejącą poranny.

Każdy ją wieńczył w własnych rojeń kwiaty
I jej piękności odczuwał inaczej,
Każdy w odmienne ubierał ją szaty,
Lecz nikt nie wątpił, iż po dniach rozpaczy
Nadpłynie w blasków różanych powodzi
I swą pięknością cały świat odmłodzi.

Więceśmy ręce do niej wyciągali,
Wołając: „Zstępuj z błękitów, królowo!
Krzywdy nędzarzów zważ na prawa szali
I sprawiedliwość wymierz im na nowo,
Zawieś miecz pomsty nad fałszem i zbrodnią
I bądź ludzkości gwiazdą znów przewodnią.

My ci pod stopy ciała swe uścielem,
Abyś stanęła na nich, jak na tronie,
I praw zgwałconych stała się mścicielem,
Z błogosławieństwem wyciągając dłonie
Ku tym, co, cierpiąc niesłusznie, skrzywdzeni
Wzywają ciebie z czyścowych płomieni.

My nic dla szczęścia swego, nic dla siebie
Nie pragniem, — nawet nie żądamy dożyć
Chwili, gdy z jutrzni zabłyśniesz na niebie!...
Chcemy na zawsze w prochu się położyć
I za swe wiano wziąć niepamięć wieczną,
Byleś Ty jasność rozlała słoneczną!" —

To wszystko teraz w przepaść się zapadło
I już przeminął czas rycerskiej służby,
Z błękitów jasne zniknęło widziadło,
Umilkły wieszcze natchnienia i wróżby,
A burza nieszczęść strąciła nam z głowy
Nawet ostatni wieniec nasz — cierniowy.

Śpiewne serc głosy, idealne hasła,
Płomienne słowa, mistyczne zachwyty
Przebrzmiały! — lampa cudowna zagasła,
Na ziemię runął ideał rozbity,
I w naszych oczach rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej muzy.

Prąd czasu innem popłynął korytem,
Nastała nowa epoka żelazna,
Która wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem
Niebiańskich widzeń słodyczy nie zazna,
I tylko w ziemi wnętrznościach się grzebie,
Zajęta myślą o codziennym chlebie.

Uboga duchem i uczuciem skąpa,
Dokoła cień swój roztacza ponury,
Ciężko po ciałach swoich ofiar stąpa
I chciwą dłonią szarpiąc pierś natury,
Pragnie zasłonę zedrzeć tajemniczą,
Za coraz nową zdążając zdobyczą.

Choć na chorągwi kładzie prawdy znamie
I ludzkiej wiedzy skarbnicę bogaci,
Czynami swemi wiecznym prawdom kłamie
I fałsz podaje w misternej postaci
I jadem zbroi węże i padalce,
By zwyciężały w strasznej o byt walce.

Nastała nowa epoka z obliczem
Nieubłaganem, lodowatem, chmurnem;
Jej bóg jest owym niewzruszonym niczem,
Pożerającym swe dzieci Saturnem,
A jej religia, dziką tchnąca grozą,
Drapieżnej siły jest apoteozą.

http://rcin.org.pl

Z nową religią nowi są prorocy,
Co, słabszym niosąc wyrok unicestwień,
Głoszą królestwo gwałtu i przemocy
I ewangelią plemiennych rozbestwień,
Jako pociechę, wskazując w rozbiciu
Nędzę i nicość i w śmierci i w życiu.

Pod ich chorągwie spieszą ludzie nowi,
Widząc, że wiara przeszłości zawiodła —
Urągać czystych poświęceń duchowi,
Kruszyć braterstwa i wolności godła,
Przed złotym cielcem korzyć się tyranii —
Panmoskwicyzmu, albo pangermanii.

I u nas przyszło nowe pokolenie,
Wpatrzone w ziemię z chłodem i rozwagą,
Pragnące teraz na dziejowej scenie
Odgrzebać z gruzów rzeczywistość nagą,
Podstawę bytu, mniej od dawnej chwiejną,
By na niej znowu budować kolejno.

W twardej nieszczęścia urobione szkole,
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodyczy;
Krępuje skrzydła młodości sokole,
W każdym porywie z siłami się liczy —
I wchodzi z prądem dziejowym w przymierza,
Biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza.

Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste zdroje,
Gdyż pragnie świeżéj doszukać się broni,
Z którąby mogło przyszłe staczać boje,
A w tej pogoni stopą nieoględną
Depce wawrzyny, co na grobach więdną.

To pokolenie, milczące i smutne,
Daleko myślą od dawnych odeszło;
Oskarża serca miłością rozrzutne
I lekceważy ich zasługę przeszłą,
Nie wiedząc nawet, ile w niej się mieści
Wielkich poświęceń cnoty i boleści.

Myśmy przez piękność, sercami odczutą,
W dobra i prawdy chcieli wejść krainę,
A oto kończym nasze dni pokutą,
Zbyt śmiałych lotów opłakując winę...
Nie możem jednak bez goryczy patrzeć,
Widząc, jak chcecie ślad przeszłości zatrzeć.

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce —
My błogosławim wam, rycerze młodzi,
Narodowego długu spadkobierce,
I na trud przyszłych, mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń.

Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu,
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!...
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią posiąść mógł Helota
Stracone piękno i dobro żywota.

Lecz wiedzcie: prawda, której wy szukacie,
Jest jak Proteusz, kryjący się zdradnie,
Który wciąż swoje odmienia postacie,
Gdy śmiały nurek w głębi go napadnie,
I pokolenia ciekawych żeglarzy
Coraz to nową odpowiedzią darzy....

. . . .
. . . .

Z dawnych czasów i teraźniejszych dni.

Przez
Ks. Dr. Chotkowskiego.

II.

(Kobiety polskie w XVI wieku. Niewiasty krzywdzące duchownych i kościoły. Zbytki w strojach mieszczanek krakowskich i mieszczanek w Niemczech; Geiler von Kaisersberg i św. Jan Kapistran a ks. biskup Krasicki. Upadek szlachty w Hesyi z powodu zbytku w strojach niewiast. Czy emulacya w strojach między mieszczankami a szlachciankami w Polsce nie miała historycznych następstw. Synod Jana Łaskiego z r. 1523; kwestya ekonomiczna; dawniej a teraz; zmiana cen w rzeczach zbytkownych; ceny materyi w Krakowie r. 1524. Kanonik Salomonis, a kupiec Bublo z Oświecimia).

Mówić źle o kobietach — rzecz wstrętna i niemęzka, ale historya nie zna grzeczności i dla tego nazwano ją sądem świata, że sąd jej surowy jest i nieubłagany. Żadnych ona nie zna względów ani dla urzędów najwyższych, ani dla kobiet. — Jakie one były w XVI wieku? Oto pytanie, które jest dotąd bez odpowiedzi, ale zdaje się, że były gorsze, niż dzisiaj Mogłoby to zakrawać na kompliment dla teraźniejszych Polek, ale podobno nikt im większego komplimentu nie powie nad ten, który im wypowiedział z trybuny sejmowej najgroźniejszy wróg ich dzieci. Może to i nie całkiem ich własna zasługa, jak i tamte nie są winne, że żyły w czasach odmiennych, a stokroć lepszych, niż dzisiejsze. Groza położenia to sprawia, żeśmy wszyscy poważniejsi. Gdzieżby się komu np. dzisiaj w Wielkopolsce śniło zawięzywać towarzystwo w rodzaju „r z e c z y p o s p o l i t e j b a b i ń s k i e j“, przedstawionej niedawno świetnym pędzlem Matejki! Ktoby dziś myślał o zagrabianiu kościołów, osadzaniu w nich obcych przybłędów i zmuszaniu poddanego ludu wiejskiego do uczęszczania ua heretyckie kazania, jak to w XVI wieku tak powszechnie w Małopolsce czyniono? Któraż z naszych niewiast poważyłaby się dzisiaj zagrabiać kościelną własność i krzywdzić pasterza duchownego?

A jednak bywało takich niewiast niemało w XVI wieku. Na dowód przytoczymy tylko te, które przed biskupa Tomickiego były pozwane — i to w jednym tylko roku 1524. — Najpierw ks. B a r t ł o m i e j G a n t k o w s k i, pleban w Wilczyskach, (dawniejszym archidyakonacie Sędeckim, dekanacie Bobowskim) skarży przed biskupem panią P r z e c ł a w ę S z a l o w s k ą o to, że przeszłego roku zagrabiła dziesięcinę snopową ze wsi Wilczyska i Jeżowa. Pani Szalowska tłomaczy się, że to brat, P i o t r T u r s k i z Jeżowy, podarował jej te snopy, które miały iść z pola do księżej stodoły; ale ks. biskup nie wiedział jeszcze wówczas, jak się będzie „*suum cuique*“ tłomaczyć w XIX wieku... i dla tego osądził po dawnemu: oddaj, co nie twoje. Zagroził więc pani Szalowskiej karami kościelnemi, jeśli grabieży nie powróci. — Działo się to w poniedziałek, dnia 6 lipca, 1524.

Gorszą jeszcze skargę wytacza tegoż roku 23 września, ks. J a n p l e b a n z P r o b o ł o w i c (archidyakonacie krakowskim, dekanacie sokolińskim). Ten nie miał nazwiska, więc widocznie był nieszlacheckiego pochodzenia, ale dojadły mu do żywego krzywdy szanownej kolatorki, pani A n n y G n o j e ń s k i e j, która mu ludzi, najętych do roboty w czasie żniw, pędziła do roboty na własne pole, do czego nadto niewoliła jeszcze księżego ogrodowego i sługi. Włodarz tej pani tak mało miał delikatności, że nawet kościelnego srodze pobił. Na to wszystko odpowiada p. Gnojeńska przed biskupem ze zimną krwią, że to już taki u niej obyczaj, posługiwać się ludźmi ks. plebana; ale takiego obyczaju ks. Tomicki zakazuje na przyszłość. Więc szanowna kolatorka rozżalona mści się widocznie języczkiem na plebanie, bo biskup nakazuje mu oddalić ze służby tego kościelnego, który został sponiewie-

http://rcin.org.pl

rany przez włodarza p. Gnojeńskiej, a to z tej racyi, że jest żonaty....

Gorsza jeszcze była p. Barbara z Kurozwęk, wdowa po Hieronimie, (siostra Jarosława Łaskiego, synowica prymasa). Ta już nawet kawał gruntu zagrabiła kościołowi w Górce (archidyakonacie krakowskim, dekanacie proszowickim), ale pleban tamtejszy, ks. Melchior, choć także człowiek bez nazwiska, odbywał studya w uniwersytecie, bo ma stopień magistra, więc potrafi krzywdy dochodzić, choćby na pani — tak wysokiej paranteli. Biskup też nakazuje oddać grabież pod groźbą kar kościelnych.

Takich nieprzykładnych przykładów mnoży się następnie coraz więcej, mimo to, że biskup ma sąd i władzę wykonawczą w ręku, a jako podkanclerzy jest pan groźny i możny i energiczny przytem. Co to dopiero dziać się będzie później, gdy następni biskupi mniej pilnować będą swego urzędu, albo gdy wreszcie swywola wytrąci im sądownictwo, jak niebezpieczny oręż z ręki! — Widocznie mimo powszechnego dostatku niedostawało tym paniom pieniędzy, kiedy nawet po własność kościelną nie wahały się wyciągać chciwej ręki. Ale i nie dziw, że niedostawało, jeśli się weźmie na uwagę, jakie zbytki w strojach panowały w Krakowie, gdy świetny dwór Bony nadawał ton w tej mierze. Toć ona przykładem uczyła, jak frymarczyć godnościami kościelnemi i nabijać trzos symoniackim groszem. Najgorsza przytem i najprzykrzejsza dla pań była to rzecz, że mieszczanki w Krakowie stroiły się nad stan: więc nietylko im wyrównać, ale i przewyższyć wypadało damie szlacheckiego rodu. Ciekawe czytelniczki niechby zajrzały kiedy do skarbca w kościele Panny Maryi w Krakowie. Tam im pokażą ornaty, robione ze sukien mieszczanek krakowskich. Materye w nich świetne, lamowane złotem, wzorzyste, są tak przedniego gatunku, że dziś jeszcze, po 300 latach, wyglądają, jakby z igły zdjęte.

Były to czasy świetnego stanu mieszczaństwa, nim je następnie gospodarstwo, a raczej ustawy celne, jakie sejmy nasze uchwaliły, do gwałtownego i nagłego popchnęły upadku. Ale nie same tylko polskie mieszczanki „zadawały szyku" szlachciankom. W Niemczech działo się to samo. Tam stroiły się mieszczanki może jeszcze bardziej i nietylko nosiły długie „ogony" czy powłoki u sukien, ale nawet futra sobolowe i gronostajowe. Wiele o tem można czytać w kazaniach sławnego kaznodziei i pisarza Geiler von Kaisersberg, ale zdaje się, że on tak samo groch rzucał o ściany, jak i inni, co po nim na ten sam temat prawili. Jest to zresztą niezmiernie delikatna materya, a Niemki tak samo nie lubiły o tem słuchać, jak i Polki. Do jakiego stopnia dochodziła pod tym względem niewieścia drażliwość w Niemczech, tego doświadczył na sobie najlepiej św. Jan Kapistran. Kiedy bowiem obchodził miasta niemieckie, zachęcając do wojny przeciwko Turkom, i przybywszy do miasta Ulm (1461) wystąpił w kazaniu przeciw zbytkom w strojach tamtejszych dam miejskich, wtedy powstała „kokosza wojna" przeciwko Świętemu. Rezultat był ten, że sławetna rada miejska wsadziła św Kapistrana do kozy. — Niewiem, z jakiego tytułu prawnego zapadł ten „pacanowski" wyrok, ale jeśli było nad nim głosowanie, to mogę zaręczyć, że wszyscy żonaci za uwięzieniem Świętego głosowali, bo taki mieli przykaz od „godnych" połowic swoich. Z czego się wywodzi ten pewnik, że nietylko w mieście Ulm, i nietylko w XV wieku były na świecie „pantofle" i „safanduły", ale że po wszystkie czasy było i jest prawdą to, co ks. biskup warmiński ujął w dwa wiersze Myszeidy, że:

„Mimo płci naszej przeróżne zalety,
My rządzim światem, a nami kobiety."

Łatwiej jednakże było nakazać milczenie, choćby takiemu kaznodziei, jak św Kapistran, który w Krakowie na rynku w cieniu drzewa przy kościołku św. Wojciecha prawił kazanie po łacinie, a wszystek lud do łez poruszył, niż powstrzymać skutki tej emulacyi w strojach pomiędzy szlachciankami, a damami miejskiemi Złe języki mówią n. p. o pewnej wdowie, że sprzedała wieś swoję Geggingen nad rzeczką Ablach w Hesyi, aby kupić za cenę sprzedaży suknię niebieską aksamitną i wystąpić w niej na turnieju (Zimmersche Chronik I 396—397). A takich „strojniś" musiało być tam więcej, skoro pod koniec XV wieku zubożało około 200 rodzin szlacheckich w Hesyi z powodu zbytku w strojach niewieścich. Doszło do tego wreszcie, że musieli panowie małżonkowie pójść po rozum do głowy i poczęto (1498) we Frankonii, Szwabii, Bawaryi i nadreńskich księstwach wydawać ustawy przeciwko zbytkownym strojom niewiast. (Jaussen, Gesch. d. d. Volkes I. 375 19).

W Polsce, czy były tego rodzaju przepisy przeciw zbytkownym strojom, tego w tej chwili na pewno powiedzieć nie mogę, ale mam jeszcze na pamięci zgryźliwe słowa naszego poety, który Polsce czyni zarzut, że „pawiem i papugą była narodów." Czy jednakże emulacya w strojach pomiędzy mieszczankami, a szlachciankami nie miała u nas gorszych następstw? Oto jest kwestya daleko większej wagi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KOHINOR.

NOWELA BARONA A. von ROBERTS.

Tłomaczyła J. M. B.

(Dokończenie.)

Borris rozumował w sposób następujący: Henryk ma słuszność; żonka jego jest marzycielką niepoprawną, może się to zmieni później, to nas jednak nie obchodzi, nam trzeba liczyć się z teraźniejszością. Życie i poezya mieszają się w jej jasnej główce w trudną na pozór do rozplątania gmatwaninę; krytyka takiego ustroju nie należy jednak do nas i musimy zobaczyć, w jaki sposób z tego pogromu zdrowo i szczęśliwie życie da się unieść. Jest ona widocznie pod wrażeniem owej powieści — brzmi to śmieszne i nie do uwierzenia, ale nas to znowu nie powinno obchodzić, że tak jest rzeczywiście — musimy właśnie niedorzeczności i banialuki tej historyi wyzyskać i wciągnąć w nasz rachunek.

W najbliższym poszycie „Przeglądu" koniec tej bazgraniny się ukaże. Możliwem jest, że młoda kobieta straci ochotę do doczytania końca — ale możliwem też, że wyobraźnia jej z chciwością się na niego rzuci, ażeby w opowiadaniu przynajmniej znaleźć rozwiązanie, którego daremnie oczekuje od życia. „Zakończenie" przeto historyi Kohinora ważnem jest do najwyższego stopnia. Możliwem jest, że ono z gruntu wszystko zepsuje, możliwem też, że rozgorączkowaną jej główkę doprowadzi do porządku. Koniec końców, nie można przecież tyle drogiego losu obojga przyjaciół pozostawić *à la merci* nędznego literackiego bazgracza. Jeżli przysposobione do druku zakończenie nie odpowiada naszym planom, będzie musiało tak być przerobionem, aby się do nich stosowało. Autor nie uczyni tego dobrowolnie, nie będzie chciał zmienić, co raz napisał; tacy ludzie także mają swój rodzaj punktu honoru. Niech będzie jednak, co chce, uczynić to ostatecznie musi! Człowiek ten winien nam zadosyćuczynienie — on to przecież całe nieszczęście zgotował! Na drodze prawnej możnaby tego żądać pod karą śmierci!... Zamiast krwi jednak ma tylko atrament swój poświęcić. Człowiek ten jeszcze piekielnie dobrze na tem wyjdzie. Dalejże, nie ma czasu do stracenia!

http://rcin.org.pl

Tak rozmyślał szlachetny, zacny dwojga małżonków przyjaciel.

* * *

W dwa dni później po uciążliwej podróży wszedł Borris do mieszkania autora „Kohinora“. Zpośród niebieskawych obłoczków dymu, przepełniającego pokój, wysunął się naprzeciw niemu w wielkich, pilśniowych pantoflach maleńki człowieczek w wieku trudnym do oznaczenia, z okularami podniesionemi na pomarszczonem czole, wpatrując się bojaźliwie migotliwemi oczkami w olbrzymią postać przybyłego.

— Czy pan jesteś autorem „Kohinora“? — zapytał Borris.

— Do usług, łaskawy panie! — I zgryźliwe oblicze człowieczka skrzywiło się do wdzięcznego uśmiechu; w każdym razie spodziewał się widzieć przed sobą zapalonego wielbiciela swej muzy, jakkolwiek cała postawa Borrisa bynajmniej po temu nie wyglądała.

— Von Borris, moje nazwisko — przemówił przybyły z lekkim ukłonem. — Jestem przyjacielem pańskiego barona Czermaka, chciej pan zrozumieć to dobrze, przyjacielem rzeczywistego bohatera.... Ślicznie dziękuję! — To „ślicznie dziękuję“ odnosiło się do nieśmiałego poruszenia owego człowieka, który zapraszał gościa na perkalikiem pokrytą kanapę.

— Bardzo wygodnie urządziłeś się pan ze swoją historyą; po prostu z małą przemianą imion przywłaszczyłeś ją sobie z życia. Jednak, niestety! w rzeczach, tyczących sportu, nie zdajesz się pan być zupełnie biegłym. Byłeś pan trochę za wspaniałomyślnym ze swemi ośmdziesięciu tysiącami — przyjaciel mój wprawdzie dał się unieść nieco za daleko swej namiętności i porywczości, waryatem jednak nie był nigdy. Zresztą nie o to chodzi. Przychodzę pana zapytać, jaki przebieg ma zakończenie tej historyi, jest to dla nas ważnem.

— Cudowne zakończenie, znakomite zakończenie! — wykrzyknął z zapałem człowieczek — uzyska ono ogólne zadowolnienie i poklask. O ile tylko było możliwem, stosowałem się w zakończeniu swego dzieła do wniosków psychologicznych. Naturalnie w sposób tragiczny..... wszystkie moje prace kończą się tragicznie! — I z dumnem poruszeniem głowy odrzucił w tył kędziory posiwiałych swych włosów.

— Proszę, chciej się pan tłomaczyć jaśniej — wyrzekł Borris z rodzajem niecierpliwej powagi.

Autor zaczął opowiadać treść swojej powieści. Jądro opowiadania, przepełnionego przyczynami i szeroko przeprowadzonemi uwagami, było następujące: Czermak zerwał z dawnem hulaszczem życiem, zarówno, jak hrabia Henryk; jednakże ze zgliszczy uczuć serca jego raz jeszcze wybuchnął płomień. Pokochał śliczną, wspaniałą istotę i w małżeństwie z nią zdawał się odzyskać raj utracony. Wtedy zjawił się cień Kohinora i zasłonił promienie tego słońca. I otoż złamane życie dwojga, rozwiane nadzieje, zagasłe szczęście — stracona miłość i spokój! — Ona nie zdołała się przemodz, by ponad ten odłam przeszłości rzucić zasłonę zapomnienia.

Wobec żaru podobnej namiętności, jaką Kohinor jej odkrył, wzdrygała się czysta jej dusza. Uciekła do swych rodziców. Daremne były wszelkie pośrednictwa, daremne wybuchy jego rozpaczy i bólu. Zawrzała właśnie rosyjsko-turecka wojna, bohater rzucił się w zgiełk walki i naturalnym zbiegiem okoliczności zginął pod Plewną od kul tureckich.

— Nie może być! — zawołał Borris — Takiego zakończenia nie możesz pan umieścić! Słyszysz pan?... nie możesz!

Człowieczek zdrętwiał z podziwu.

— Bardzo to proste, najszanowniejszy panie. Przez swoję niedyskrecyą — używam tu najłagodniejszego wyrażenia — zburzyłeś pan szczęście pewnej rodziny, jesteś nam winien zadosyćuczynienie i dasz je pan, tak, czy owak, zapewniam pana, — rzekł gość z przyciskiem. — Myślałbym, że najdelikatniejszy sposób wywikłania się z tej sprawy byłby ten, abyś pan natychmiast zasiadł do swego biórka i historyą swą zupełnie przerobił.

— Jakto?.... ależ to być nie może! — biadał człowieczek przerażony. — Nie poczuwam się do żadnej niedyskrecyi. Znalazłem przedmiot w wiadomościach potocznych jakiegoś starego dziennika. My, autorzy, musimy skądkolwiek czerpać wątek do powieści, z chmur przecież wykrzesać go nie możemy.

Borris z politowaniem wzruszył ramionami. Potem opowiedziawszy pokrótce, jak fatalny wpływ wywarła historya „Kohinora“ na życie dwojga dobrych i zacnych ludzi, mówił dalej:

— Możnaby się prawie obawiać, aby odwrotnie, jak pan w pierwszej części skopiowałeś życie, to ostatnie nie skopiowało zakończenia pańskiej powieści. To nie może być, to nie powinno być. Czy experyment ten uda się, lub nie, spróbować trzeba.

— Ależ dzieło sztuki! — z ubolewaniem wykrzyknął autor. — Nie można jej przecież ugniatać, jak ciasta!

— Bodaj dyabli porwali pana sztukę! — chciał Borris zawołać, lecz opanował się i pozostał w żelaznym swoim spokoju. — Chodzi tutaj o dzieło sztuki szczęścia ludzkiego. Życie ważniejszem jest od powieści, rzeczywistość od fantazyi — albo czy może sądzisz pan przeciwnie? Chcesz pan obciążać sumienie winą, że w skutek psychologicznych facecyi zniszczyłeś szczęście dwojga szlachetnych ludzi?

Szanowny autor począł wreszcie wśród biadania i westchnień ulegać naciskowi. Borris dyktował warunki: nic o Plewnie, żadnych steeplechaise i żadnych „skoków przez siedm obręczy“ na zakończenie. — Wszystko bardzo po prostu, mój panie. Przedstawisz pan tę młodą kobietę, jako coś niezmiernie kochania godnego i pełnego wdzięku. Już to pan potrafisz!... Złote serce i złoty umysł, drogocenne, pełne ufności serce dziecięce! Całą tę sprawę Kohinora poddasz pan spokojnej krytyce Wykażesz, jak właśnie z ognia owej namiętności dusza barona wydobyła się uszlachetnioną, udoskonaloną. Natura nigdy nie dopuszcza się zbrodni, czasem tylko cel swój osięga nieco gwałtownemi środkami. Coś podobnego powiesz pan lepiej ode mnie, który nie jestem autorem. Będziesz się pan starał wyleczyć bohaterkę „Zakończenia“ z nierozsądnej o przeszłość zazdrości, która nie jest przecież niczem więcej, jak tajemnym rozkwitem budzącego się przywiązania. I tak dla nich obojga pana „Kohinor“ stanie się zbawieniem. Kohinor otworzył im oczy i serca. Jak obcy, stali dotąd naprzeciw siebie, odtąd poznali się wzajemnie. Pamięć Kohinora niech będzie błogosławioną.

— Ależ coza pospolite zakończenie! — jęczał autor. Nie można przecież kończyć powieści w tak powszedni sposób.

— Ależ do.... — Borris znowu stłumił zaklęcie, — Takiem przecież jest życie! nieraz stokroć piękniejsze od najpiękniejszej poezyi, choć często obywa się bez obrazowania, oklasków i ogni bengalskich!

* * *

Wyszło wreszcie zakończenie „Kohinora“. Borris niezmiernie był zadowolony, autor bowiem uczynił ostatecznie wszystko, czego od niego żądano. Zdawało się wprawdzie Borrisowi, że z pomiędzy wierszy wyrywały się jęki i westchnienia pisarza, rozpaczającego nad swem „dziełem sztuki“, ale mało go to obchodziło. Nie odbyło się wprawdzie bez „skoków przez siedm obręczy“, jak je Borris nazywał, ale tak się one świetnie udały, że można było bić brawo.

Gdy udał się do swych przyjaciół, znalazł poszyt „Przeglądu“ na stole o kartach nieprzeciętych — a więc.... nie czytali. Leżał on tam rozłożysto i narzucająco bił w oczy, a jaskrawo-żółtym kolorem swej okładki krzyczał formalnie, aby go przeczytano.

http://rcin.org.pl

W dwa dni później leżał ciągle jeszcze na tem samem miejscu — ciągle jeszcze z stronnicami nieporozcinanemi. Nieprzyjemnie groźny blask jaskrawej okładki zdawał się napełniać sobą powietrze całego domu i razić oczy. Fatalizm jakiś zdawał się w tym zeszycie widomy kształt przybierać; nie śmiano go ruszyć, bano go się dotknąć.

Z wzrastającą niechęcią wpatrywał się Borris w ów zeszyt. Było to śmiesznem, była to nie do zniesienia tyrania, którą mały ten, niefortunny przedmiot na nich wszystkich wywierał.

— Oboje są chorzy — powiedział sobie wreszcie Borris, — a gdy ludzie chorzy nie chcą użyć rzeczywiście skutecznego lekarstwa, trzeba usiłować podać je im koniecznie, lub wreszcie choćby podstępem podsunąć.

Znowu potrzeba pospiechu, zanim mimowoli narzucająca się żółta okładka ostatnią iskrę nadziei pochłonie. — Pewnego wieczora zbliżył się do swoich chorych. Nie było to zaprawdę przyjemnością oddychać wraz z nimi tem burzliwem powietrzem, pokrywając febryczne drżenie myśli obojętną rozmową. Ale lekarz nie dla przyjemności odwiedza pacyentów.

Po kolacyi, gdy przed migocącym na kominku płomieniem miejsca zajęto, naprowadził Borris rozmowę na romans i nowelę, on, który takiego „cukiernictwa“, jak się wyrażał, nie używał nigdy. Niepewne z początku słowa jego zahaczyły i o ów żółty zeszyt „Przeglądu“, potem nagle zdobył się na odwagę i wprost zapytał:

— A propos, czytaliście przecież zakończenie „Kohinora“?

Żadnej odpowiedzi — głuche milczenie. Pytanie, jakby w ogniu, przepadło; nie chciał na nich spojrzeć, aby im oszczędzić przykrości, jakiejby doznali, zmuszeni choćby wyrazem twarzy odpowiedzieć na jego zapytanie. I znowu cisza — nic.... tylko syczenie i trzaskanie płomieni.

Borris wstał, poszedł do stołu, wziął zeszyt, powrócił do kominka i zaczął wytworną kością słoniową, zdjętą z gzymsu kominka, stronnice książki rozcinać.

— Hm, hm!... — zazierał tu i owdzie na stronnice i: — doskonałe, znakomite... — pomrukiwał do siebie, — hm, hm. — Wreszcie znowu i już bez wahania, ale z brzmieniem zniecierpliwienia w głosie:

— Musicie to doprawdy przeczytać, a cóż powiecie, gdybym ja wam głośno przeczytał?

Znowu żadnej odpowiedzi, znów głuche milczenie, znów na żadne z nich nie spojrzał. Hrabia Henryk siedział z boku, w cieniu ściany kominkowej, hrabina Anna po przeciwnej stronie, w fotelu oparta, dłonią podparta osłaniała główkę przed jasnością płomieni. I żadnego poruszenia w ich postaciach. Borrisa ogarnęło coś, jakby niepohamowana bezwzględność energicznego lekarza i zaczął czytać głosem silnym i pewnym. Czytanie to będzie nieskończoną męczarnią dla nich obojga, o tem wiedział — ale tak być musi — to gorzkie, lecz skuteczne lekarstwo.

Po pierwszych zdaniach zrobił hrabia Henryk poruszenie, jakby chciał powstać, położyć rękę na zeszycie i przerwać czytanie, ale zaniechał zamiaru, popadł znowu jakby w obezwładnienie, w rodzaj sparaliżowania. Ach! a gdyby Borris oczy młodej kobiety był widział, jej piękne, głębokie, błagające oczy...

Bez przerwy czytał całe pół godziny, poprzez oddźwięk słów własnych nadsłuchując, czy poruszenie jakie, lub westchnienie nie zdradzi wrażenia, jakie opowiadanie na nich wywiera. Lecz nic i nic, tylko trzaskający ogień na kominku przerywał od czasu do czasu jednostajność zajęcia.

Wtem następuje kulminacyjny punkt opowiadania. Autor nie chciał zupełnie skreślić efektownego epizodu, owej rosyjsko-tureckiej wojny, bo mu prawdopodobnie nic lepszego pod pióro nie wpadło — i baron Czermak wstąpił do oficerskiego korpusu preobrascheńskiego pułku. Potajemnie zajął się wszelkiemi szczegółami zaciągnięcia swego do wojska i zbliżała się chwila pożegnania może na zawsze żony, lubej swej ojcowizny, stron rodzinnych i domu, które cień Kohinora w tygodniach ostatnich nieledwie na piekło mu zamienił. Uczynił to w porywająco-rozrzewnionym liście, a bezmierny ból rozłączenia wylał w gorących słów potoku.

— Niktby się tego po owym człowieczku w wytartym surducie i filcowych pantoflach nie spodziewał — pomyślał Borris w ciągu czytania.

I czytał dalej: — „Tak jednak być musi, ukochana moja, tak być musi!.... Nie znam innej drogi wyjścia, nadaremnie łamałem sobie myśli. Rozłączam się bez goryczy, rozumiem cię i pojmuję, jak się stało, że wina moja do tak niedostępnej wysokości ponad nami się wzniosła. Może jedno słówko maleńkie wystarczyłoby, aby winę tę uczynić lekką, jak piórko, odkupić ją... zapomnieć.... słówka tego nie umieliśmy znaleźć. Żegnam cię przeto. Bywaj zdrowa, żegnam cię na wieki! Twoja zwątpiała dusza żąda dowodu mej miłości, żąda stwierdzenia mego uczucia czynem, któryby zrównoważył ów daleki wybuch rozgorączkowanej niegdyś wyobraźni. Lecz ówczesny był wynikiem rozburzonego temperamentu, jakżeż byłbym zdolnym, bez zarumienienia, do drugiego podobnego czynu?.... Ofiaruję ci miłość uszlachetnioną, zamkniętą w sobie, niezachwianą, stateczną miłość dojrzałego człowieka, co zerwał z szałem lekkomyślnej nierozsądnej młodości. Odrzucasz ją, czuję milczącą twoję odmowę i... odchodzę“....

Nagle poprzez własne słowa usłyszał czytający lekki stłumiony okrzyk, który rozpływał się w cichym jęku.

Błyskiem jednego spojrzenia oczy Borrisa objęły postać hrabiny. Siedziała pochylona, drżąca, upadająca pod ciężarem przygniatającego ją wzruszenia i cierpienia; dłońmi zaciskała oczy, delikatne jej łono wznosiło się gwałtownie, a cała postać zdawała się wstrząśniętą tłumionem łkaniem.

— Ta historya zaczyna być bardzo głupią.... rzekł Borris sam zmieszany i przewrócił kilka stronnic dalej. Następnie, poprawiwszy na kominku rozpaloną głownię, co wypadnięciem groziła, wstał, hrabiemu Henrykowi rzucił znaczące spojrzenie i poszedł zapalić cygaro do przyległej biblioteki.

A gdy tak zajętym był zapaleniem cygara, z opuszczonej co dopiero komnaty przedzierał się do ucha jego gwar rozmaitego rodzaju: to krzesło zostało gwałtownie popchnięte, to zaszeleściła suknia, to znów jakby upadł ktoś na podłogę!... a wśród przytłumionego łkania udało mu się te błagające podsłyszeć słowa: — Nie możesz odchodzić, Henryku, nie, nie puszczę cię.... nie powinieneś....

Borris nie cierpiał na halucynacye, a więc pojął, że prawdopodobnie musiało się dziać to, co słyszał.

Wkrótce potem sam udał się do stajni i spiesznie kazał konie zaprzęgać. W samotnym jego kawalerskim pokoju stos papierów z ważnemi sprawami czekał załatwienia, a Borris zauważył, że byłby to nader stosowny wieczor do zaprowadzenia w nich porządku.

* * *

W dwa dni później przechodził Borris z strzelbą na ramieniu przez zarośla naddrożne. Na piaszczystej drodze, do której zmierzał żwawym krokiem, posłyszał tentent koni, głuche przytłumione uderzenia podków i parskanie nozdrzów. Złotem połyskujące liście młodej dębiny zasłaniało go przed nadjeżdżającymi.... więc przystanął.

Była to nasza znajoma para: hrabia Henryk i hrabina Anna. Musieli ostro jechać, bo konie, parą okryte, dyszały jeszcze, choć w tej chwili cugle lekko puszczone, wisiały niedbale. I zupełnie wolno przejechali, nie widząc swego prawdziwego przyjaciela. Siedzieli na koniach milcząco, nie odzywając się ani słowem, pogrążeni w zadumie; kwitnące rumieńce ożywiały ich twarze, a przyspieszony oddech świadczył o użyciu miłej konnej przejażdżki i niemniej miłych z niej wrażeń.

http://rcin.org.pl

Anna główkę lekko na bok pochyliła, patrząc przed siebie zamyślonemi oczyma; złote promienie słońca otaczały bujne sploty jasnych jej włosów błyszczącą aureolą, a lekki wietrzyk igrał niebieską woalką. Oczy Henryka, świeciły wyrazem radosnego zwycięztwa i upajającej serce rozkoszy....

Żadne słowo nie wybiegło dotąd na rozchylone ich usta, lecz — spojrzyjcie — spuszczone ich ręce silny, serdeczny splata uścisk.... drżące ich myśli milczącą prowadzą z sobą rozmowę.

Coza urocza cisza wokoło!.... coza wspaniały dzień jesienny! — Borris przyznał w duszy, że nigdy nie widział nic piękniejszego nad te dwie postacie, które promienie słońca w promieniach szczęścia i miłości czyniły zjawiskiem nadziemskiem.

Tego samego wieczora napisał Borris do autora „Kohinora" list następujący:

Szanowny Panie.

Niezrównanym jesteś Pan autorem, rzecz swoję świetnie przeprowadziłeś! Winszuję Panu i dziękuję z serca. „Dzieło sztuki" przepysznie się udało, może być pewnem pochwały i oklasków wszystkich dobrze myślących ludzi. Takiej nagrody nie trzeba cenić zbyt nizko.

Z wysokim szacunkiem
v. Borris.

KONIEC.

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 1, 2 i 3.)

„W dawnych czasach nie umianoby sobie wyobrazić matki, któraby sama dziecka swojego nie karmiła, a nawet prawa państwowe obowiązek ten bezwarunkowo matkom nakazywały. Demosthenes żądał potępienia pewnej damy ateńskiej, która dziecię swoje oddała obcej osobie do karmienia. Historycy podają, że jednym z pierwszych znaków upadku cesarstwa rzymskiego było zaniedbanie obowiązków matek względem swoich dzieci.

We Francyi aż do czasów Franciszka I królowe dawały przykład z siebie, jak należy pojmować zaszczytne zadanie matki i same karmiły swoje dzieci. Dopiero gdy Medyceusze, osiadłszy na tronie, zaczęli coraz bardziej szerzyć złe obyczaje, gdy matki Francyi nauczyły się za ich przykładem poświęcać na ołtarzu mód i galanteryi najświętsze obowiązki swoje, dzieci oddawano na łaskę żywicielek (nourrices), a zwyczaj ten tak się rozpowszechnił w całym kraju, że stał się prawie regułą.

W połowie XVII wieku potężny i wymowny głos wielkiego filozofa, J. I. Rousseau, zdołał na nowo powołać matki do pełnienia obowiązków swoich i wzbudził tak ogólny zapał, że nawet te karmić pragnęły, które rzeczywiście nie mogły. Lecz we Francyi, jak rzecz stroju, tak i niektóre zasady moralne hołdują wszechwładnej bogini mód i konwenansów. Wkrótce też słowa mędrca przebrzmiały, a egoizm wziął górę nad obowiązkiem serca i sumienia." [1])

Na uwydatnienie i opromienienie tych obowiązków uważamy za konieczne wspomnieć jeszcze o kwestyi bardzo ważnej, dotyczącej wpływu pokarmu żywicielki na karmione przez nią dziecko.

---

[1]) Szkic hygieniczny: „Mężatka i matka." Dr. L. Weitzenblut. Warszawa 1879.

Czy cechy indywidualne żywicielki mają wpływ na przyszłe usposobienie i charakter dziecka? J. E. Winters [2]) w wspomnianej przez nas pracy swej twierdząco odpowiada na to pytanie. Zwraca uwagę słusznie na to — iż przy wyborze zastępczyni matki uwzględniać koniecznie trzeba jej własności umysłowe i moralne.

„Tworzenie się charakteru rozpoczyna się od urodzenia. Ktokolwiek studyował rozwój charakteru dziecka, nie zaprzeczy, że wpływy, oddziaływające w pierwszym roku życia, mają takie same, jeżeli nie większe znaczenie, niż w jakimkolwiek innym okresie życia."

Na potwierdzenie tego opowiada szczegóły o rodzinie pewnego młodego lekarza angielskiego, którego brat czterech miał synów. Drugi z rzędu tychże synów był karmiony przez młodą mamkę, rodem z Irlandyi; trzech pozostałych wykarmiła sama matka. Otoż ten drugi różni się całkiem nawyknieniami i charakterem od swoich braci tak, że wszyscy znajomi, nawet tacy, którzy nie wiedzą, kto go karmił, nie omieszkali dopatrzyć się w nim pewnych rysów właściwych Irlandczykom.

Drugi przykład, podany przez autora, dotyczył kobiety, mającej czterech synów, obecnie już dorosłych. Z tych sama wykarmiła trzech, do czwartego zaś przyjęła żywicielkę Włoszkę, która go karmiła przeszło rok cały. Matka opowiada, że młodszy syn posiada odmienne rysy charakteru, jest więcej skrytym i zachował cechy właściwe jego mamce — Włoszce Inny ciekawy przykład przedstawia parę bliźniąt, z których jedno karmiła matka, drugie obca kobieta Dzieci te wykazywały całkiem odmienne charaktery, zarówno jak kobiety, które je karmiły swem mlekiem.

Kwestya ta doniosła karmienia dzieci przez własne matki zajęła nas trochę dłużej i to nietylko, aby zdrowie, życie i charakter tych szczęśliwych maluczkich utrwalić i zabezpieczyć — ale głównie także, aby przyczynić się do położenia skutecznej tamy systemowi zgubnemu i dobru społeczeństwa szkodliwemu — zastępowania się i powierzania własnych dzieci kobietom obcym na wykarmienie. One to, oddając własne dzieci „gdziebądź" pod opiekę — dopuszczają się zbrodni dobrowolnego zamorzenia głodem jednego dziecka, by drugie żyć mogło.

---

[2]) Wiadomości lekarskie Nr. 6. 1888.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CO LEPSZE?

Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

(Dokończenie)

SCENA VI.

IDA (*wstaje i bierze list Stanisława*).

Za godzinę może już tu będzie — o! jakże mi serce bije; zdaje mi się, że jestem młodziutką dziewczęcką, oczekującą ukochanego (*siada przy oknie)* Niech ludzie mówią, co chcą, nie ma jednakże dla kobiety większego szczęścia, jak kochać i być kochaną! — A zarazem muszą zgodzić się i na ten aksyomat, że nieco kokieteryi nigdy nie zaszkodzi.... Ot! i wczoraj, na tym wieczorku u Henryków, byłam dziwnie podniecona, śmielsza, niż zwykle, prawie, że naumyślnie zdradziłam się z mojem uczuciem dla niego (*wskazując na list*) i oto rezultat śliczny! śliczny, drogi rezultat — warto go ucałować. (*przyciska list do ust*) Co też ja robię, gdyby mnie kto zaszedł w tej chwili — sza-

http://rcin.org.pl

lęję, jak pensyonarka.... (*patrzy ku drzwiom*) Czemuż ta Marysia jeszcze nie wraca? A może go nie zastała? Ach! Boże, co też ja najlepszego zrobiłam! — zapomniałam, że ona czytać nie umie i nie powiedziałam adresu — gotowa jeszcze zanieść do kogo innego!... Ależ nie, przecież jest rozgarniona — zapyta pierwszego lepszego przechodnia, to ją objaśni. — Rozgarniona! a nie zapytała mnie samę .. nie, zaczynam się niepokoić — to byłoby jakieś fatum.... (*chodzi po scenie, zagląda w okno, wraca znów do stolika zawsze z listem Stanisława*) Dla czego jednak ten Stanisław czekał, aż mu się sama narzucę prawie? To przecież dziwne! Wszak jesteśmy równi urodzeniem, majątkiem, stanowiskiem w świecie, cóż go więc wstrzymywało? A może widząc Feliksa tak nieodstępnym, obawiał się rywala? Być może.... Wiele jednakże musi być dumy i miłości w człowieku, który tak milczeć potrafi. — Jakże on musi kochać, skoro bał się odezwać z tem uczuciem, aby nie zostało zranionem... (*po chwili*) Jednakże... mógł ryzykować — mógł chociaż częściej bywać i nie tak zimno, sztywnie się trzymać, jak Anglik. Przecież świat cały wie — że Feliks to mój przyjaciel, a raczej ja jestem tylko jego przyjaciołką. — (*po chwili*) Dziwna rzecz, jak ten list chłodno napisany, ani jednego gorętszego słówka! Bo to wyrażenie: „uczucia moje biegły do ciebie“ i t. d., trąci farbą drukarską — nie idze z serca. (*z goryczą*). Tak obawiał się odmowy ten zwycięzca salonów — do którego niejedna piękność wzdycha jawnie i skrycie.... A przytem wieje z tego listu coś niepochwytnego — jakby pewność przychylnej odpowiedzi. — Ta dwulicowość gniewa mnie. (*po chwili*) A, pani Ido — nie poznaję cię! Zapominasz, że po wczorajszem twem postępowaniu Stanisław ma prawo spodziewać się przychylnej odpowiedzi — zamiast cieszyć się — ty rozbierasz jego słowa? (*po chwili*) Tak, cieszyć się! — cóż temu winnam, że coś mi szepce, że cieszyć się nie mam z czego, że on mnie nie kocha, że jest to tylko przelotna fantazya znudzonego życiem, żem go zdołała wzruszyć tylko na chwilę, a ponieważ odpowiadam w zupełności wymaganiom, jakie stawia dla przyszłej żony, więc zdecydował się mnie zaślubić i oświadcza mi to listownie, aby nie być narażonym — nie na odmowę, bo nie wierzy, aby ją mógł otrzymać, ale na sceny mniej więcej czułe, których nie cierpi. (*ociera łzy*) To okropne — świadomość ta, to przypuszczenie zabija wszystkie złudzenia; zdaje mi się, że od tej chwili jestem skazaną na dolę istoty kochającej a niekochanej; błyszczącego domowego sprzętu, który prędzej, lub później stanie się niepotrzebnym — ale obdarzonego sercem, które czuje. — Czemuż nie mam siły odmówić Stanisławowi? a wreszcie już zapóźno!

(*wbiega Feliks*).

SCENA VII.

IDA. — FELIKS.

FELIKS (*wbiegając*)

Ido — pani, a więc to nie sen!?

IDA (*zdziwiona*)

Pan Feliks? (*spostrzega list w jego ręku*) Mój list!

FELIKS (*ściskając jej ręce*)

O! ukochana, tyś próbowała mnie tylko, wszak prawda — a teraz, teraz jam szczęśliwy!

IDA (*pomieszana*)

Ależ....

FELIKS (*przerywając*)

O! odpowiedz mi choć słówko; dla czego milczysz? Tyś moja, moja; wezwałeś mnie, aby mi to powiedzieć. (*przyciska do ust jej ręce*)

IDA (*coraz bardziej miesza się*)

n. s. Boże, Co tu począć? — Ta nieznośna Marysia zaniosła list do niego — co ja zrobię! (*głośno*) Mój przyjacielu, ten list...

FELIKS (*nie dając skończyć.*)

O! Ido, gdybyś wiedziała, com czuł przez tę godzinę, nim list twój nadszedł!...

IDA (*n. s.*)

Fatalna sprawa! (*głośno*) Panie Feliksie....

FELIKS (*przerywając*)

O! nie przerywaj mi, pozwól skończyć — Postanowiłem nie widzieć cię już więcej — ale postanowienie to było dla mnie wyrokiem śmierci...

IDA (*n. s.*)

Biedny chłopiec, gdy się dowie....

FELIKS.

Czułem, że głowa mi pęka, że wszystkie pulsują w niej żyły, jakby ją miały rozsadzić — była chwila, żem już prawie chwytał za rewolwer....

IDA (*przerażona*)

Chciałeś się zabić!? (*n. s.*) nigdybym sobie tego nie przebaczyła.

FELIKS

O! ukochana, jakże mógłbym żyć bez twego widoku?

IDA (*zamyśla się, n. s.*)

Poczciwy chłopiec, jak on mnie kocha, czyż mogę mu powiedzieć?

FELIKS (*kończąc*)

Gdy służący list mi oddał, a ja na nim poznałem twój monogram....

IDA *n. s.*

Marysia tyle razy nosiła do niego zapraszające bileciki...

FEKIKS

Gdy poznałem twój monogram, nie wiem doprawdy w jaki sposób rozdarłem kopertę, by przeczytać to drogie słowo. (*całuje jej ręce*).

IDA

Jakto, nie czytałeś nawet adresu?!

FELIKS

A to po co? Dobrze, że zdołałem treść odczytać; litery skakały mi przed oczyma, jak żywe! (*wesoło*). A teraz odpowiedz mi, ukochana, czemu tak długo mnie zwodziłaś?

IDA (*z zakłopotaniem.*)

Doprawdy, panie Feliksie, muszę wyznać (*n. s.*) Nie, nie mam odwagi; co on sobie pomyśli?

FELIKS.

Czemuś przerwała?

IDA (*z nagłem postanowieniem.*)

A gdyby wezwanie moje nie stanowiło jeszcze nadziei dla pana?

FELIKS (*cofając się.*)

Co mówisz?!

IDA.

Gdybym chciała tylko zyskać na nowo przyjaciela, i w tym celu go wezwała?

FELIKS.

Pani, ten żart niegodzien ciebie; gdybyś tak uczyniła, byłabyś więcéj, niż okrutną — byłabyś istotą bez serca!

IDA (*n. s.*)

Tak, to byłoby okrucieństwem, (*głośno, z figlarnym uśmiechem.*) I cożbyś pan wtedy uczynił?

FELIKS (*w gorączce.*)

Cobym uczynił? cobym uczynił... (*hamując się.*) Ukłoniłbym się pani i... nie wrócił więcej, (*z ironią*) i już nie byłbym tak naiwnym, aby pragnąć śmierci.

IDA (*n. s.*)

Nie wróciłby! do tego dopuścić nie mogę. (*głośno*) Podaj mi pan ten list na chwilę, zaraz go zwrócę, (*Feliks podaje list, ona odchodzi z nim do kominka*) ta koperta go-

http://rcin.org.pl

towa zdradzić wszystko *(rzuca nieznacznie kopertę w ogień — n. s.)* Cóż powie Stanisław?... Ach! mniejsza o niego, nie zabije się pewnie z rozpaczy, gdy tymczasem ten... *(po chwili)* Ale ja kocham Stanisława; nie, trzeba to raz zakończyć *(zwraca się do Feliksa)* Kochany przyjacielu... *(zatrzymuje się.)*

FELIKS *(wesoło.)*

Czekam na rozkazy.

IDA *(z wahaniem, zmieniając myśl.)*

Przeczytaj mi pan co.

FELIKS.

Najchętniéj! *(szuka między książkami.)*

IDA.

Jeszcze nigdy nie byłam tak lękliwą *(patrzy na Feliksa.)* Jaka to szlachetna głowa! *(po chwili:)* Doprawdy, nie jestem pewną, czy istotnie kocham Stanisława — może to złudzenie zmysłów.

FELIKS *(biorąc książkę).*

Czy życzysz sobie pani posłuchać?

IDA.

Proszę! *(siada na krześle, Feliks czyta.)*

FELIKS.

„Zostaw mnie w ciszy mej i w dumie, gdy mnie nie kocha nikt, nikt nie rozumie; poco rozkruszać chcesz zimne lodu pancerze? Ach! rzuć mnie, póki jeszcze w szczęście nie wierzę. Lecz jeśli kochasz mnie, kochasz prawdziwie, zostań — ziarn czystych jest dość na duszy mojej niwie, dość jeszcze w sercu siły, rozkoszy pełne czary, by drugiemu życiu szczęście dać bez miary" — *opuszcza książkę i patrzy jej w oczy)* Czy to prawda, Ido?

IDA *(cichutko, rozmarzona.)*

Prawda! *(n. s.)* Tak jest, lepiej oddać serce za serce, niż kochać, a nie być kochaną.

Zasłona spada.

Agi-Wdaj.

Wiadomości literackie i rozmaitości.

„Księga aforyzmów" ze stu pisarzy polskich, wybranych przez Wł. Bełzę. (Lwów 1888 r. Nakładem księgarni H. Altenberga.)

Wydawnictwo to przedstawia się wspaniale tak pod względem zewnętrznym, jako też pod względem układu treści. Książka bowiem mieści mnóstwo zdań, myśli, sentencyi najznakomitszych autorów, ułożonych zręcznie, zajmująco i umiejętnie. Piękna, elegancka okładka z angielskiego, kolorowego płótna, powabna dla oka, uzupełnia wartość w mowie będącego dziełka, które może być cenną ozdobą każdego stolika najwytworniejszego budoaru — polecamy je zatem przede wszystkiem, jako podarki okolicznościowe.

Warszawski „Przegląd kościelny," powstały w 1863 r., ukończył w rb. 25 lat swego istnienia. Rozwój swój i pierwszorzędne miejsce, jakie „Przegląd" zajmuje niezaprzeczenie między czasopismami poważnej, religijnej treści, zawdzięcza głównie założycielowi i kierownikowi swemu, ks. kanonikowi Nowodworskiemu, mężowi znanemu na polu pracy naukowej i wydawcy wielkiej „Encyklopedyi kościelnej."

Pięćsetną rocznicę swego założenia obchodziła w ostatnich dniach stycznia r. b. najdawniejsza w Warszawie filantropijna instytucya, „Dom schronienia starców pod wezwaniem Ducha św. i N. P. Maryi."

W gubernii wileńskiej, w majętności Siemietowszczyznie, obserwowano w zeszłym miesiącu dwa ciekawe atmosferyczne zjawiska. Pewnego dnia w czasie silnego mrozu, wkrótce po zachodzie słońca, ukazała się na czystem, bez żadnej chmurki niebie tęcz wspaniała, jaką tylko zwykliśmy podziwiać w czasie lata. Jednocześnie od tarczy księżyca spływał ku ziemi słup świetlany. Oba te zjawiska obserwować było można dość długo.

W Glasgowie (w hrabstwie Lanark) w głównem siedlisku przemysłu i handlu szkockiego, otwartą zostanie w czasie wiosny b. r. wielka wystawa robót kobiecych. Krakowskie stowarzyszenie pań obrony przemysłu krajowego otrzymało od komitetu pań polskich w Londynie zaproszenie na glasgowską wystawę; w celu przeto wspólnego naradzenia się nad wysełką okazów odbyto posiedzenie, któremu przewodniczyli ks. Helena Sanguszkówna, i hr. Z. Cieszkowski, sekretarz „Towarzystwa." Na posiedzeniu zadecydowano, że ponieważ komitet londyński okazy pod jego adresem przesłane najdalej do 8 marca przyjmuje, stowarzyszenie pań krakowskich, pragnąc w swym kraju ułatwić interesowanym uczestnictwo w wystawie, postanowiło ze swej strony koszta transportu przesełek z Krakowa do Londynu własnym ponieść kosztem, pod warunkiem, że okazy, przeznaczone na wystawę w Glasgowie, najdalej do 25 lutego do Krakowa nadesłane franco zostaną. Warszawskie pisma zachęcają panie z Kongresówki do wzięcia także udziału w wystawie, ponieważ komitet londyński na podanie p. E. Naganowskiego, sekretarza „Towarzystwa literackiego, polskiego w Londynie," odpowiedział, że przyrzeka miejsce na oddział dla pracy Polek i prosi o nadesłanie nietylko przedmiotów artystycznych, ale także wieśniaczych haftów, tkanin i t. p. wyrobów samodzielnych. Okazy należy adresować: „Mr. Naganowski, p. Duke Street, St. James, London." Należy także dołączyć nazwisko robotnicy, stopień jéj wykształcenia, miejscowość, do czego przedmiot służy, czy kompozycya, czy naśladowanie i jaka jego cena.

Panie nasze, z których niejedne prawdziwe arcydzieła tworzą we względzie prac ręcznych — powinny również płody swej artystycznej pracy wysłać na wielką świata widownię i zaznaczyć tamże zręczność wielkopolskich rączek.

NEKROLOGIA.

†

Józef Fedkowicz Hordyński, utalentowany rusiński poeta i gorliwy patryota, umarł w końcu zeszłego miesiąca w Czerniowcach na Bukowinie, mając 54 lat. Zmarłego pieśniarza porównują często pod względem ducha jego utworów z Tarasem Szewczenką, najznakomitszym małorusińskim poetą, zmarłym 1861 r. w Petersburgu. Przed trzema laty obchodził św. p. Józef Fedkowicz 25-letni jubileusz zawodu swego literackiego w Czerniowcach, gdzie stale przebywał.

Rozwiązanie logogryfu w Nr. 2. „Domu polskiego."

1. Słowacki. — 2. Zboże. — 3. Clusium. — 4. Zittau. — 5. Ę. 1. — 6. Szarlej. — 7. Cymbrowie. — 8. Berg. — 9. Orinoko. — 10. Ż. P. — 11 Eleuter. — 12. Daryusz. — 13. Oready. — 14. Maciej. — 15. Onega. — 16. Wyjec. — 17. Iłowski. — 18. Pago. 19. Orzeł. — 20. Leszno. — 21. Sem 22. K.

Szczęść, Boże, „Domowi polskiemu" i jego przyjaciołom.

Pierwsze dobre rozwiązanie nadesłało i nagrodę otrzymało za pośrednictwem pani Albertyny Cegielskiéj „czterech chłopczyków: Stefcio, Felcio, Antoś i Polcio" z Poznania; p. L. Theurich z Gniezna. Nadto rozwiązała dobrze logogryf p. Marya Adamska. Imion, nazwisk i pseudonimów, nieczytelnie podpisanych, jako też literami tylko oznaczonych, nie wymieniamy tutaj.

LOGOGRYF.

(Ułożyła Marya P. z Rz.)

Sylaby:

an, an, che, dan, dlaw, gar, ganth, gi, gró, i, jec, kow la, lus, mu, ne, nek, ni, no, o, o, pa, ra, ro, ryk, se, se, to, tra.

Znaczenie wyrazów:

1. Wiersz pochwalny. — 2. Jezioro we Włoszech. — 3. Ogród biblijny. — 4. Roślina. — 5. Imie. — 6. Miasto. — 7. Miasto słynne pobytem wieszcza naszego. — 8. Generał francuzki z bieżącego stulecia. — 9. Założyciel słynnego miasta w starożytności. — 10. Naczynie. — 11. Imie męzkie.

Początkowe głoski, czytane z góry na dół, tworzą imie i nazwisko sławnego kaznodziei; końcowe w tym samym czytane porządku, oznaczają wielkiego poetę.

Sprostowanie.

W numerze 3-cim „Domu polskiego", strona 21 — w obrazku scenicznym: „Co lepsze?" zamiast: Feliks, kawaler, lat 24 — ma być: Feliks, kawaler, lat 28.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.

http://rcin.org.pl